

moje, jak i wołanie było bezskuteczne. Wkońcu, w pokoju na pierwszym piętrze, postyszałem rumor, okno się otworzyło i ktoś zaspanym i ochrypłym głosem krzyknął:

— Kto tam?!

— Czy to pan, panie Bagnell? — odpowiedziałem zapytaniem. — Zejdź, proszę. To ja, Trenoweth, potrzebuję pana.

Usłyszałem grzmiące, chociaż głuche zakłęcie. Poczem nastąpiło wcale długo trwające milczenie, przerwane wkońcu klótnią małżeńską. Lecz po chwili rozwarły się drzwi od ulicy i ukazał się w nich Bagnell, trzymający latarnię w rękę.

— Chciałbym odebrać moją łódkę?

— O tej porze, po nocy?

— Tak. Potrzebuję jej zaraz.

— Ależ schowana za pół tuzinem innych. Nie łatwo dostać się do niej.

— Mniejsza o to. Jeśli zechcesz, dopomogę ci przy wyciąganiu, bo koniecznie muszę ją mieć natychmiast.

Bagnell spojrzał na mnie złym wzrokiem, mrużąc po cichu jakieś straszne przekleństwa.

— Czy pan na seryo życzy sobie, abym mordował się o tak spóźnionej porze, po nocy? Czy nie jesteś przypadkiem?...

— Nie jestem pijany, bo mnie mam, że to sobie pan pomyślałeś... Żądam łódki mojej zupełnie na seryo. Powtarzam, że nieodwołalnie mieć ją muszę zaraz!

— A nie zgodziłbyś się pan wziąć innej?

— Nie.

Przeszukałem kieszenie i znalazłem w jednej dwa funty szterlingi i kilka szylingów.

— Patrz pan — rzekłem — dam ci te dwa funty, jeśli w tej chwili wyciągniesz łódkę moją z szopy.

Przyrzeczenie sutego wynagrodzenia poskutkowało nareszcie i zważyło stawiany mi opór.

Bagnell patrzył czas jakiś przed siebie z wyrazem frasunku w oczach. Poczem zdecydowawszy prawdopodobnie w głębi duszy, że ma do czynienia z waryatem, którego należałoby czempredziej oddać do czubków — co zresztą nie powinno go było obchodzić — wsadził zamaszystym ruchem ręki kapelusz na głowę i zwrócił się do szopy.

Przy słabym i migotliwym świetle latarni, potykając się nieustannie na leżących tu masztach, wiosłach, rudlach i tym podobnych przyborach żeglarskich, przedostaliśmy się nareszcie do kąta, w którym stała moja łódka. Niemal czasu upłynęło i niemal po nieśliśmy trudu, zanim zdołaliśmy ją wyciągnąć, przywlec do brzegu i spuścić na wodę.

Poczem dałem przewoźnikowi oba funty szterlingi, dorzucając do nich i szylingi, znalezione w kieszeni. Zastanowiwszy się, pomyślałem sobie, że kwota przezemnie ofiarowana, słusznie przypadła mu w udziale, bo człowiek, który ciało moje wyłowi z wody, otrzyma prawdopodobnie za to prawem zwyczajowem przyznawane wynagrodzenie.

W ciągu całej wspólnej roboty, mówiliśmy z sobą niewiele, tyle tylko, ile konieczność porozumienia się w działaniu wymagała, lecz w chwili, gdy biorąc wiosła z rąk Bagnella, wchodziłem do łodzi, rzekł on do mnie:

— Kiedy pan powróci?

Już po raz drugi słyszałem dziś to samo zapytanie i mniej więcej w tychże samych wyrazach, jak poprzednim razem, odpowiedziałem na nie wymijająco:

— Nie wcześniej, jak nad ranem.

Kilku silnymi poruszeniami wiosła odbiłem łódkę na środek rzeki i w pierwszej chwili popłynąłem spokojnie z prądem.

Lecz wkrótce, nie wiedząc dlaczego, zwróciłem ją w kierunku przeciwnym, pod wodę. Zwrot ten niespodziany przypisać muszę prawdopodobnie chaosowi, jaki panował wtedy w moim, obojętnym na wszystko umyśle. Nie zdawałem sobie zresztą sprawy z niczego, chociaż spoglądałem ciągle to na dwa rzędy świateł, pływających po obu brzegach rzeki, to na jakąś wieżę, albo gmach wysoki, ukazujący się

od czasu do czasu za niemi, to znowu na srebrny blask księżyca, ścielący się kiedy niekiedy po wodzie — wsłuchując się przytem w skrzypienie wiosła, ocierających się o utrzymujące je w równowadze, a osadzone na burtach łodzi, żelazne, zardzewiałe kółka.

Przypominam sobie teraz, że jak dziecko, zdjęte przerażeniem, starałem się wymknąć wraz z łodzią z pośród smug światła, jakie rzucał miesiąc na powierzchnię rzeki, a które zdawały się gonić za mną. Ponure uczucie tryumfu budziło się we mnie, gdy łódź prześlizgiwała się w cieniu jednego z mostów, albo w czarnej plamie odbijającego się w wodzie kadłuba większego statku. Wszystko to przypominał mi sobie dopiero teraz i dziwię się, że tak banalnym i naiwnym był charakter moich ówczesnych myśli.

Nagle, zdało mi się, że owionął mnie zapach róży białej. Pytałem się siebie, skąd przy braku wszelkiego powiewu, mogła się wziąć tutaj woń podobna? Dziś popołudniu oddychałem nią wprawdzie w salonie Klary, właśnie w chwili, gdy roz-

w oddaleniu Wieżę Białą, rysującą się na tle nieba.

Pierwszem jednak dopiero jaśniejszem i mniej więcej pewnem wrażeniem, które silniej utkwiło mi w pamięci, było: że wiosłowałem w cieniu trzymasztowego szonera, stojącego na kotwicy przy brzegu. Gdy łódź przesuwiała się tuż przy nim, ujrzałem jego nazwę, „Wodna Czarownica“, namalowaną białą farbą na czarnym przodzie.

ROZDZIAŁ X.

W jaki sposób wdarłem się na pokład „Wodnej Czarownicy“, postyszawszy rozmowę dwu znanych mi głosów.

Znajdowałem się wówczas w pośrodku długiego szeregu niezliczonych statków. Spojrzałem za siebie przez ramię i ujrzałem w znacznej odległości, jaką przy niepewnym świetle oczy moje dosięgnąć mogły, las masztów, sterczących dumnie, oraz wiszące na nich latarnie, których płomienie, drgając, odbijały się w wodzie. Dwudziestoma silnymi poruszeniami wiosła popchnąłem łódkę naprzód, poczem zatrzymałem ją w miejscu.

Na co miałbym płynąć dalej? Tu, równie jak gdzieindziej, łatwo będzie spełnić swój zamiar. Nikt nie usłyszy, gdy dam nurka, a gdyby nawet kto usłyszał, według wszelkiego prawdopodobieństwa nie zwróci na to uwagi. Łódź moja znajdowała się jeszcze dość blisko brzegu, więc niemal w zupełnym cieniu, bo światło księżyca srebrzyło przeważnie środek rzeki.

Wydobyłem pudełko cynowe z kieszeni od płaszcza i złożyłem w tyle łódki. Chciałem je wraz z kluczem wrzucić do wody, zanim sam wskoczę do niej. To też, wyciągnawszy klucz z drugiej kieszeni, zdjąłem płaszcz, następnie surdut i kamizelkę, a poskładawszy całą odzież starannie, przewiesiłem ją na środkowej ławce w łodzi. Klucz zaś wsunąłem w kieszeń od spodni, a łańcuch z zegarkiem i klamrą spuściłem do drugiej. Chciałem całą sprawę załatwić spokojnie i systematycznie, więc zastanawiałem się nad wszystkim pilnie i uważnie.

W chwili, gdy zamierzałem zdjąć buty, przyszło mi na myśl: czy w danym momencie instynkt zachowawczy nie zapanuje nad samobójczem postanowieniem i czy bezwiednie nie zacznę pływać? Niegdyś, w Lizart i w Lant trig, pływanie było dla mnie czynnością równie naturalną, jak chodzenie, nie wątpiłem zatem, że zaledwie dostanę się do wody, ręce i nogi moje zaczną się poruszać w sposób właściwy tym, którzy pływać umieją. Czy jestem w stanie liczyć na tak potężną siłę woli, która zdoła je unieruchomić i pozwoli mi spaść jak kamień na dno?

Rozumiałem, że rzecz będzie bardzo trudna, postanowiłem jednak odpowiedniemi przygotowaniem się do czynu, ułatwić spełnienie go niezawodnie i stanowczo.

Wyciągnąłem chustkę z kieszeni, aby nią związać obie nogi razem, powyżej kostki. Robiłem to wszystko spokojnie, że się tak wyrażę, niemal mechanicznie.

O tyle, o ile można być pewnym czegoś, gdy nas od faktu oddziela długi przeciąg czasu, śmiało powiedzieć mogę, iż pewny jestem, że nie wahałem się ani przez jedną chwilę. Zresztą, nie potrzebo wałem panować nad jakimikolwiek bądź moralnymi wątpliwościami, nie było ich bowiem wówczas wcale w moim mózgu.

Siedząc skulony na ławeczce, już zaczynałem chustką wiązać nogi ponad kostką, gdy łódź moja uderzyła lekko o coś. Spojrzałem w górę i po raz drugi dostrzegłem tuż nad głową czarny kadłub statku, a na nim białymi literami wypisaną nazwę „Wodna Czarownica“.

Nie było mi to na rękę. Łódka widocznie wraz z przypływem podniosła się tylną swoją połową nieco ukośnie i popchnięta szybszym biegiem wody, wsunęła się pod łańcuch kotwicy szonera. Ostrożnie i cicho usunąłem łańcuch na bok i pochwyciłem wiosła, gdy nagle postyszałem głosy, dolatujące uszu moich z pokładu.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Pocem zacząłem rachować latarnie, stojące na obu wybrzeżach...

stawaliśmy się na zawsze, lecz skąd się wzięła obena i dlaczego mnie ściga teraz?

Potem zacząłem rachować latarnie, stojące na obu wybrzeżach. Myliłem się... i znowu liczyć zaczynałem. A srebrne światło księżycowe stało się wciąż po wodzie, tuż przy mnie... tuż przy mnie...

Byłem ciągle okryty płaszczem, chociaż odrzuciłem należącą doń pelerynę, żeby nie krępowała mi ramion, poruszających się nieustannie przy wiosłowaniu. Przy wiosłowaniu bez odpoczynku musiało mi być gorąco, lecz nie odczuwałem ciepła, jak niedawno nie odczuwałem również chłodu, gdy wyszedłszy z teatru bez płaszcza i kapelusza, biegłem do siebie.

Łódź moja płynęła wzdłuż wybrzeża Middlesex, przy starych schodach Temple, a w danym momencie wcisnęła się w część rzeki, zapełnionej mnóstwem większych i mniejszych bark i jachtów, stojących w cieniu, jaki most wielki rzucał na wodę.

Dokąd dopłynąłem? Nie pamiętam... nie wiem... Straciłem pojęcie odległości, wraz z pojęciem czasu. Zdaje mi się jednak — chociaż nie jestem pewny, czy to wspomnienie może być uważane za ściśle — że zatoczyłem szersze koło na rzece, aby uniknąć zetknięcia się ze statkami, czekającymi na świt poranny przy Billingsgate i że widziałem